Na okaz! — Wolno zatrzymać!

Rocznik I. Kraków, 1 grudnia 1899. Numer 6.

SKARBNICA

Pismo ludowe illustrowane

popularno-naukowe i powieściowe.

WYDAWCA I REDAKTOR:

Ks. Marceli Dziurzyński.



MÓDL SIĘ i PRACUJ.

Ważne dla wszystkich Sz. Czytelników!

Niniejszym (6-tym) zeszytem zamykamy pierwszy rocznik *Skarbnicy*. Od stycznia roku przyszłego (1900) rozpocznie się nowy, tj. 2-gi rocznik, zeszytem pierwszym. Wskutek tego nowi Czytelnicy będą mieli potem po roku całość.

W roku przyszłym nastąpi też powiększenie pisma czyli, że każdy zeszyt *Skarbnicy* mieć będzie objętości więcej o pół arkusza, a więc półtrzecia arkusza (20 kartek).

Przedpłata na *Skarbnicę* pozostaje i nadal ta sama tj.: **na rok: 2 złr. 50 ct.** (5 mk.), **na pół roku: 1 złr. 25 ct.** Kwartalnej przedpłaty nie przyjmuje się.

Każdy, kto nadeśle teraz **całoroczną przedpłatę** (2 złr. 50 ct.) — **otrzyma oprócz** *Skarbnicy* **(przez cały rok 1900)**, nadto jeszcze **jako premię bezpłatną**

piękny KALENDARZ ścienny na rok 1900.

Kalendarz ten można otrzymać **już teraz**, a więc zaraz po nadesłaniu nam przedpłaty na *Skarbnicę*.

Uprasza się o **rychłe zgłoszenia z przedpłatą**, byśmy mogli wcześnie uregulować nakład następnego tj. pierwszego zeszytu na rok przyszły.

Życzliwych Czytelników prosimy o rozszerzanie *Skarbnicy* między znajomymi!

Rok I. Kraków, 1 grudnia 1899. Numer 6.

SKARBNICA

popularno-naukowa i powieściowa
dla ludu polskiego.
Wychodzi **raz** w miesiącu — około dnia 1-go.

Wydawca i redaktor: *Ks. Marceli Dziurzyński.*

Przedpłata wynosi:
w Austryi: na rok **2** złr., **50** ct. na pół roku **1** złr. **25** ct. —
W Niemczech: na rok **5** marek. — **W Ameryce:** rocznie **1½** dolara
Adres do przesyłania przedpłaty: **Redakcya „Skarbnicy“ w Krakowie, ul. Basztowa L. 4.**

Wioski w Czechach.

Lud czeski (a mowa tu głównie o włościanach), stoi wyżej w oświacie od ludu polskiego, i ma się też materyalnie daleko lepiej, co widać na każdym kroku.

Wioski czeskie wyglądają, jak nasze małe miasteczka. Murowane, często piętrowe domy (w niektórych tylko jeszcze okolicach budują drewniane), o dużych oknach i drzwiach, kryte dachówką; ładny kościółek zbudowany gdzieś na widocznem miejscu, plebania, obok okazała szkoła, zajazd i gospoda, młyn, czasem browar lub inna jaka fabryka, a wszystko to otoczone ogródkami kwiatowemi i sadami: oto widok przeciętnej czeskiej wioski.

W takiej wsi dostanie wszystkiego; jest tam jeden lub więcej sklepów, stosownie do ilości mieszkańców, z różnemi towarami, najczęściej chrześcijańskich, choć i żydowskie się trafiają. Na miejscu mają pocztę, lekarza, aptekę i gospodę, w której się schodzą na zabawy; żyć tedy mogą wieśniacy czescy bezpiecznie, wygodnie i wesoło. W wiosce takiej jest zaraz jakieś stowarzyszenie, najczęściej straż ogniowa lub towarzystwo śpiewackie.

W zagrodach, jako też i w mieszkaniach, porządek jest nadzwyczajny. Podwórze obszerne i suche; do obory, stajni i chlewka nie trzeba grząść w błocie po kolana; gno-

jówka urządzona gdzieś w kącie, aby jej widać nie było; w pobliżu stoi ukryty w krzakach wychodek; to też koło domu i zabudowań czystość zupełna. Każde narzędzie, każdy sprzęt ma swoje miejsce, nie poniewiera się z kąta w kąt, nie rdzewieje porzucony na deszczu.

Gospodyni ma do swego rozporządzenia porządną spiżarnię i piwnicę, umie też przygotowywać i przechowywać zapasy na zimę.

Mieszkania wieśniaków nie różnią się od mieszkań średniej klasy miejskiej: te same sprzęty, te same wygody mają, Nawet często mieszkania zamożniejszych włościan są o wiele piękniejsze. Pierwsza stancya, w której jest zarazem kuchnia, służy za jadalnię a także za sypialnię dla kobiet, a więc dla gospodyni z córkami. Drugi, w którym są ozdobniejsze meble, jak kanapa, stół, szafy, komody, a czasami i fortepian, jest zarazem sypialnią dla gospodarza i synów. Często w tym drugim pokoju podłoga bywa malowana, a białe firanki w obu oknach i doniczki z kwiatkami robią miłe wrażenie.

Tak żyją w zamożniejszych zakątkach kraju; ale są i biedniejsze wioski, szczególniej w górach. Tam budują chaty drewniane, których dachy leżą oparte tylko na ścianach i przywalone ogromnemi głazami, ułożonemi w rzędy, gdyż z powodu silnych wiatrów, inne bywają zrywane. Podobnie budują się nasi karpaccy górale. Trafiają się też w górach wioski, których mieszkańcy mają chaty wprost w skale wykute, tak, że trzy ściany są z kamienia, a tylko czwarta, frontowa domurowywa się i w nią wstawiają się okna i drzwi.

Ponieważ skąpa rola wyżywić nie może górali, chodzą oni tedy po zarobkach, najczęściej najmują się za górników do kopalni. Wielu zaś z biedy musi oddawać swe dzieci do służby. Czesi, jak wiadomo, mają zdolności do muzyki, więc zdarza się, że przedsiębiorcy wynajmują dzieci biednych górali na kilka lat, płacąc najczęściej połowę zasług z góry. Potem uczą te dzieci brzdąkać trochę na arfie lub skrzypcach i wywożą je z ojczyzny, nieraz o sto mil i dalej, w obce kraje, aby graniem zarabiały na swych panów. Oto jest historya tych czeskich grajków i arfiarzy, jakich spotykamy, włóczących się po naszych miastach i wioskach.

Nieszczęście to jest dla rodziców, ale większe jeszcze dla biednych dzieci. Pozbawione opieki, a prowadzone po ulicach, szynkowniach, napatrzą się one złego, a mało które oprzeć się może pokusie. Zasmakowawszy w lekkim chlebie, albo zostaje już całe życie na obczyźnie, lub jeśli wróci do domu, to



Zagroda wieśniaka czeskiego.

żadnej nie ma z niego pociechy, bo jest już na wskroś zepsute. A co się to biedactwo nacierpi w cudzych krajach, co się nachodzi, namarznie i głodu namrze: bo jak nie przyniesie tyle pieniędzy, ile mu przykazano, jeść mu nie dają. Głód uczy nieraz złodziejstwa, tembardziej łatwego, że cudze grosze ma w ręku. Ale największa to klęska dla kraju, który tym sposobem pozbawia się zdrowych młodych sił.

Jest też w Czechach jedno stowarzyszenie, którego zadaniem jest walka przeciw temu wywożeniu dzieci, a działa ono w ten sposób, że pomaga rodzicom pożyczkami bezprocentowemi lub wystaraniem się dzieciom o zajęcie w kraju.

ZEMSTA NIEDŹWIEDZICY.

Około roku 1650, lasy a raczej bory grodzieńskie były jeszcze w całej pełni żywotności swojej, i zajmowały ogromne ziemi obszary, po obu stronach Niemna. Nieprzeliczona ilość grubego zwierza napełniała te kraje nieprzejrzane, służąc ku łowieckiej panów znakomitych zabawie; bo na zające, lisy, sarny, nie zważali wtedy prawdziwi myśliwi, pozostawiając drobiazgu tego zabijanie strzelcom swoim, ku zaopatrywaniu kuchni pańskich w te dosyć smakowite a łatwe do zdobycia pieczenie. Niedźwiedzie łapy, pieczeń z dzika i tura, albo jeleni cąber potężny, milsze były dla pańskich podniebień; a to dlatego, że przy polowaniu na niedźwiedzia łatwo było narazić się na śmiertelny uścisk niedźwiedzi, a polując na dzika można było również łatwo dostać się na kły jego; a i rogi jelenie godne były, by rycerski myśliwy miał z niemi do czynienia.

W tych to jeszcze czasach, na skraju jednej z puszcz grodzieńskich, niedaleko od zamożnej wioski, stała nowa i pożądna chata, zamieszkana przez leśniczego, któremu dozór cząstki boru najbliższej jego chaty był powierzony.

Właśnie o bardzo wczesnym poranku wiosennym, chłodnym i szarawym jeszcze, młody leśniczy spiesznie dokończał zajadać misę krupniku wrzącego, zastawionego mu na śniadanie przez skrzętną żonę.

Ona tymczasem również młoda i żwawa, opatrywała i przygotowywała broń mężowską, jak co ranek od roku, to jest odkąd młodzi ci ludzie pobrali się i osiedli w nowej chacie pod lasem. Posiliwszy się, leśniczy włożył za pas nóż myśliwski, przewiesił torbę przez ramię, wziął strzelbę, i podzię-

kowawszy żonie a pożegnawszy ją, raźno i wesoło poszedł w las, pośpiewując.

Leśniczyna narzuciwszy kożuszek na ramiona, patrzała za mężem z progu chaty, jak miała zwyczaj, dopóki nie znikł jej z oczu pomiędzy drzewami. Potem wróciła do izby, i śpiewając uprzątnęła izbę świecącą czystością, a następnie naładowawszy raz i drugi w przycierek strawy dla dobytku, poniosła śniadanie do obórki, chlewika, do kurnika i do stajenki zajrzała, opatrując swe małe, ale widocznie wzrastające gospodarstwo, wedle jego potrzeb.

W obórce stała tylko jedna krówka, ale przy niej skakało śmieszne w skokach swoich maleńkie cielątko; w stajence stała jedna szkapka, ale przy niej brykało zgrabne i śliczne do uścisku źrebiątko. Podobnie było i w chlewiku, i w izbie w kącie gdakała kura otoczona żółtemi jak kanarki kurczętami, i nad piecem gruchały gołąbki pilnując swych małych. A całe to podrastające gospodarstwo radośnie witało młodą gosposię gdziekolwiek się zwróciła.

Młoda gosposia nie posiadała się z radości na widok tych objawów przywiązania niemych stworzeń, pieściła się z każdem z kolei, aż chwyciwszy śliczne źrebiątko, pocałowała je w czoło, i śmiejąc się z jego wierzgania, uciekła do chaty, aby się zająć obiadem. Przyniosła z piwnicy kapusty, z komory mąki, krup, okrasy, rozpaliła ogień, ugotowała obiad, usiadła na chwilę po pierwszy raz dnia tego, i znowu obiegła dobytek, ucałowała kurczątko i znowu usiadła, a leśniczego jak nie widać tak nie widać było z lasu, ku któremu leśniczyna piętnasty raz od godziny spoglądała z progu chaty.

Aż gdy wyszła spojrzeć po raz szesnasty, leśniczy ukazał się nagle w oddali, wypadając gwałtownie z boku, z wielkim wypakowanym worem na plecach. Biegł co mu sił starczyło, ogromnemi krokami, bo mężczyzna to był duży i silny. Ale jeszcze połowy drogi między borem a chatą nie przebył, jeszcze leśniczyna nie zdążyła pomyśleć coby mogło być przyczyną takiej gwałtowności zwykle poważnego leśniczego, gdy przeraźliwy krzyk wyrwał się z piersi gosposi, bo wielki szary niedźwiedź wypadłszy z boru, pędził z całych sił za leśniczym, napełniając powietrze dzikim, ale żałośnym odgłosem, środkującym między mruczeniem, rykiem i jękiem.

Jednym skokiem leśniczyna znalazła się w izbie, chwyciła ze ściany drugą strzelbę mężowską zawsze nabitą i w mgnieniu oka skoczywszy na poprzednie stanowisko, wycelowała strzelbą w pędzącego niedźwiedzia. Odległość przez tę chwilę

była jeszcze za duża na strzał, a w chwili gdy się dostatecznie zmniejszyła, przypadek czy rozum niedźwiedzi, stawił niedźwiedzia na jednej linii za leśniczym, tak, że kula musiałaby wprzód dosiądz człowieka, niż zwierza.

A tymczasem odległość między niedźwiedziem i człowiekiem zmniejszała się szybko; zwierz był mocniejszy w biegu, leśniczyna odrętwiała. Gdyby nie była córką leśnika i nie znała się na różnych rzeczach w tym fachu i nie umiała oceniać odległość okiem, byłaby skonała albo oszalała w owej chwili. Ale umiejętność oceniania odległości podszepnęła jej, że jeżeliby można choć na mgnienie oka opóźnić bieg zwierzęcia, to człowiek zdoła dopaść chaty pierwszy. Więc chwytając się najpierwszego środka, jaki jej na myśl przyszedł, zmierzyła i strzeliła na wiatr raz i drugi z okrzykiem używanym na niedźwiedzia.

Pędzący niedźwiedź, widząc strzelbę skierowaną przeciw sobie, słysząc strzał i krzyk, jaki nieraz zapewne już słyszał, istotnie na jedno mgnienie oka zawahał się w biegu. A tyle też było potrzeba. Kobieta wskoczyła do sieni, chwytając oburącz mocną zaporę u drzwi, w tejże chwili mężczyzna wpadł i drzwi zatrzaśnięte za nim zasunięte zostały tą zaporą.

Leśniczy rzucił tylko w kąt sieni swój pakunek w worze związany i skoczył napowrót do drzwi, w które równocześnie uderzył niedźwiedź zewnątrz całą olbrzymią siłą potężnego ciała. Szczęściem, chata ta nową była, a przytem budując ją tak pod borem na odludziu, pomyślano podobno, aby ją obronną uczynić. Więc nietylko drzwi miała potężne, potężnemi zaporami wzmocnione i okiennice podobne wewnętrzne, ale miała też i małe pod dachem otwory ku wyglądaniu i strzelaniu. To też gdy leśniczy potężnemi barami podparł drzwi trzeszczące pod niedźwiedzią siłą, mimo swej mocy i zapór, leśniczyna poskoczyła do okna i zabarykadowała je także jak drzwi, z największym pośpiechem, a potem chwyciwszy worek z amunicyą, pobiegła jak szalona na górę i wychyliła się górnym okienkiem; zwierz uderzał we drzwi raz po raz, młócąc pięściami, lub rzucając się na drzwi całem ciałem, albo podpierał je łbem, drgając szaremi kudły z wysilenia. Drzwi trzeszczały, czasem pojedynczy suchy trzask zapowiadał, że nie trzeszczą napróżno... gdy strzał z góry padł w szare kudły drgające.

Niedźwiedź odskoczył i spojrzał w górę; gdy cofnęła się, uderzył na drzwi znowu, ale za szelestem, jaki uczyniła wychylając się z góry, uciekł powtórnie na strzału odległość. Był

widocznie doświadczony. Po chwili siadł z daleka z oczyma wpatrzonemi w jedyne drzwi chaty.

Zrozumiawszy, że niedźwiedź czeka na jej oddalenie się z górnego okienka, łeśniczyna pozostała w niem ze strzelbą wycelowaną przeciw oblegającemu chatę zwierzowi i tak ze strychu poczęła z leśniczym rozmawiać:

— W garnku na kominie jest obiad, wylej go na misę i jedz, boś pewno zgłodzon i bez sił — rzekła.

— Co głodny, to głodny i sił ostatkiem gonię -- odpowiedział; — ale jeżeli zwierz uderzy jak odejdę, zapora nie wytrzyma.

— On patrzy na mnie i na lufę, jakby się ruszył krzyknę, a jedz, abyś siły miał — rzekła kobieta.

— Dobrze, przyniosę garnek pod drzwi i tu będę jadł — mówił leśniczy.

Zrobił jak mówił i rozmawiali znowu.

— Co robi zwierz? — pytał leśniczy.

— Patrzy na mnie — odrzekła leśniczyna. — Co to jest? czemu on ciebie gonił? czego pilnuje chaty i dobija się? to coś dziwnego!

— Co dziwnego? — mruknął mężczyzna -- przecież wiesz, że pan dawno kazał mi szukać niedźwiedziąt parę na chowanie. Wypatrzyłem, kazałem Wojtkowi podrażnić starą niedźwiedzicę, gdy na chwilę od małych odeszła, chwyciłem je w wór i biegłem do chaty, aż ta poczwara domyśliła się snadź co się dzieje i ani wiem jak, pogoniła mię zwęszywszy.

— A! więc to niedźwiedziątka tam rzuciłeś w sień? a to jest niedźwiedzica ich matka? teraz rozumiem... biedna niedźwiedzica... — szepnęła leśniczyna.

W tejże chwili niedźwiedzica z nienacka rzuciła się na drzwi, kobieta krzyknęła, strzeliła i chybiła, bo ręka drżała jej dziwnem jakiemś wzruszeniem.

— Baczność! — krzyknął leśniczy zaledwie zdoławszy ze swej strony w czas drzwi podeprzeć, które bez tego, byłyby pewno na ten raz ustąpiły.

— Tam musiało niedźwiątko zamruczeć i dlatego ona skoczyła do drzwi z taką siłą — rzekła kobieta, nabijając broń i nie wiedząc, że dwie łzy stoczyły jej się na proch.

— Strzelaj! bo mi sił braknie! — krzyczał mąż.

— Co to jest? kiedyż ten proch zamiękł?... — mruknęła żona nadaremno pociągnąwszy za cyngiel — i drżąc a tracąc głowę coraz bardziej, jęła nabijać znowu.

— Strzelaj albo ginę! — jęknął łeśniczy.

Na ten raz strzał zagrzmiał i niedźwiedzica z okropnym rykiem uciekła znów na dawne miejsce, po za odległość strzału, brocząc krwią.

— Pokądże tego będzie? — rzekła kobieta — ręka mi drży, a kudły zwierza są gęste. Dziwne zdarzenie; czy nie lepiej wypuścić oknem niedźwiedzięta?

— Za nic w świecie! ja się za te niedźwiedzięta podwyższenia żołdu spodziewam; szukałem ich od dawna. Przecież ta poczwara wiecznie tu siedzieć nie będzie — rzekł leśniczy.

— A jednak usiadła i siedzi — odparła żona — a jeżeli tak posiedzi przez noc i dłużej? to co?

— To prawda, trzeba z tem skończyć — mruknął mąż i porzuciwszy drzwi, skoczył sam na górę. Tu zająwszy miejsce żony z ponabijanemi dwiema strzelbami pod ręką, czekał. Ale i niedźwiedzica zdawała się czekać.

Można sobie wyobrazić, jakie ciężkie było to oczekiwanie dla leśniczych, zwłaszcza gdy zmrok zapadać zaczął. Pokazało się, że zwierz nie dokazawszy nic siłą, postanowił użyć jakiegoś podstępu i czekał z tem nocy. Nie obrachował się tylko z pełnią księżyca, który zajaśniał zaraz ze zmierzchem.

Gdy się zmierzchło, zwierz cicho i z wolna podstąpiwszy pod drzwi, jął węszyć, gdy celne dwa strzały jeden po drugim ugodziły go snać lepiej niż poprzednie. Z okropnym jękiem cofnął się zwierz; a gdy zbudzone tym rykiem psy w wiosce szczekać zaczęły i wyć schowawszy się w budy, niedźwiedź odpowiedział na tę wrzawę drugim jękiem straszliwym i popatrzywszy jeszcze chwilę na drzwi chaty, powlókł się nareszcie do boru.

Biedni ludzie odetchnęli. Niedowierzając jednak zwierzęciu, stróżowali kolejno u górnego okna, ale niedźwiedzica nie pokazała się przez przeciąg kilkunastu dni, co ludzi uspokoiło trochę, zwłaszcza, że szeroki ślad krwi, od chaty do boru naznaczony, pozwalał przypuszczać, że zwierzę ranione było śmiertelnie. Mimo to długie godziny śmiertelnego strachu tak dobrze upamiętniły się leśniczynie, że strzegła drzwi ciągle i zaporą je zamykała.

Jakoż w dni kilkanaście ukazała się jeszcze raz niedźwiedzica z daleka i uciekła przed strzałem leśniczynej, który nie mógł jej dosiądz, a dany był z rozpaczy, bo młodej gosposi okrutnie się uprzykrzył wieczny przed niedźwiedzicą niepokój; a to tembardziej, że teraz miała ta gosposia daleko więcej zajęcia z dwoma maleńkimi synkami bliźniętami, których Pan Bóg dał leśniczym w owym czasie. Przez czas jakiś z powodu

obawy przed niedźwiedzicą, pozostawała nawet młoda leśniczyna z dziećmi u swej matki na wsi.

Ale z czasem wrażenie przeminęło, o strachu zapomniano, o niedźwiedzicy i o niedźwiedziętach, dawno oddanych do dworu. Leśniczy otrzymał podwyższenie płacy, przyjął parobka i dziewkę, aby wyręczyli gospodynię zajętą dwojgiem małych dzieci i która też znowu w ślicznej chatce swojej i z dwoma synkami na rękach ani pomyślała o czem bądź na świecie prócz o tych dzieciach i o gospodarstwie.

Czas biegł, synkowie leśniczych podrastali, ojciec i matka kochali ich tak, że nietylko życie, ale i dusze oddaćby za nich byli gotowi. Chłopaczki zaczynali już biegać i mówić, gdy raz krzyk dziecinny, przerażenia pełny, obił się o serce matki. Pobiegła za krzykiem i zastała jednego z chłopców w pobliżu domu pod drzewem, gdzie często się dzieci bawiły. Dzieciak z krzykiem zarzucił matce ręce na szyję, gdy go w objęcia chwyciła, opowiadając dziecinnym nie zawsze nawet dla matki zrozumiałym językiem, że jego brata ktoś straszny i bury wziął i poniósł.

Gdzie? kto? napróżno matka dopytywała. Zbiegły się sługi i krewne, zaczęto gonić i szukać. Zrozpaczonej matce zdawało się, że wszyscy źle szukają, że ona sama tylko dziecko odszuka; oddawszy więc pozostałe dziecię w ręce którejś z krewniaczek, pobiegła za zginionem. Tymczasem wrócił z boru leśniczy: rozpacz jego i gniew dolały oliwy do tego ognia ogólnej domowej trwogi i zgrozy. Leśniczy pobiegł szukać w drugą stronę. A gdy oboje rodzice wrócili do domu z rozpaczą i próżnemi rękoma, okazało się, że już w domu i drugiego chłopca nie było. Kobieta, której go matka oddała, powierzyła go drugiej, bo przyszło jej na myśl, że zgubione dziecię mogło wpaść w strugę głęboką, więc poszła ją obejrzeć. Druga kobieta zapewniała, że malec żwawy zsunął się z jej rąk i poszedł w podwórze tuż za pierwszą — co się dalej stało? nikt nie wiedział. Drugi chłopiec zginął wśród zamętu i licznych opiekunek gwarzących w dotkniętej nieszczęściem chacie.

Wszelkie poszukiwania były daremne. Leśniczowie nie mając więcej dzieci tem okrutniej tęsknili po straconych; aż zaniedbawszy służbę i gospodarstwo z tęsknoty tej powoli cherląc pomarli. Chata ich nawet rozsypała się.

Zapomniano o nich i o ich nieszczęściu.

W kilka, a może nawet w kilkanaście lat po opisanych tu wydarzeniach, ale zawsze za panowania Jana Kazimierza

Wazy, ponure, bezdenne puszcze grodzieńskie zawrzały odgłosem licznych myśliwskich trąbek i rogów, nawoływań dojeżdżaczy, grania nieprzeliczonego mnóstwa psów, ryku turów, niedźwiedzi i dzika gniewnych odezw, echem strzelania i chrzęstu tratowanych drzewin pomniejszych. Odbywało się pańskie wielkie polowanie i to głównie na niedźwiedzie, których dużą ilość odkryli świeżo leśniczy w samym sercu puszczy, w niedostępnych prawie jarach i rozdołach. Była to jakby stolica niedźwiedzia, do której dotąd podobno nie przedarła się stopa ludzka.

Oczywiście też, posłyszawszy o tych trudnościach i niebezpieczeństwach dostępu i o wielkiej ilości niebezpiecznego a więc ponętnego zwierza, który ukrywał się zapewne od wieków w tym ostępie — panowie zapragnęli natychmiast owym niebezpieczeństwom zajrzeć w oczy i urządzono polowanie. Mnóstwo okolicznego ludu otoczyło część kniei wyznaczoną do obławy.

Na polanie z trudem wyszukanej w gęstwinach bezbrzeżnych rozbito namiotów parę wspaniałych dla panów; kilka innych pospolitych i mnóstwo uchronów z gałęzi na prędce skleconych służyło reszcie myśliwych. Kucharze i kuchciki trochę dalej rozpaliwszy ogniska, warzyli w ogromnych kotłach tradycyjne myśliwskie bigosy i piekli całkowite woły i barany, obracając je na rożnach olbrzymich, wspartych na drewnianych w ziemię wbitych podporach. Echo przynosiło tu dokładne odgłosy polowania z osaczonej niezbadanej dotąd kniei. Po tych odgłosach służba krzątająca się przy kuchni i namiotach zgadywała, że polowanie ma się na ten dzień ku końcowi i pospieszała ze swemi sprawami.

Jakoż nie myliła się służba. Niedaleko od niej sześciu niedźwiedzi ubitych leżało na murawie w małym ustępie gęstwiny, wśród pilnującej ich służby myśliwskiej; a jeszcze trochę dalej, oddzielona od poprzednich murem gęstwiny, dyszała dogorywająca jeszcze jedna przerażająco olbrzymia niedźwiedzica. Bogato ubrany pan stał przy niej z oszczepem w ręce, na który dopiero co wziął też samą niedźwiedzicę. Strzelec ocierał mu oszczep, a łowczy, stojąc z drugiej strony zwierza, otrębywał zwycięstwo; kilku myśliwców hamowało na boku psy rozigrane. Na odgłos zwycięzkiego rogu przybywało z kolei całe towarzystwo łowieckie.

Jeden z najpierw przybyłych czy najbliższych stanowiskiem panów, obejrzawszy dyszącego zwierza, pokręcił głową, mówiąc żartobliwie, do tamtego z oszczepem:

— Ej mości wojewodo wileński! wstydzićbyś się waszmość chyba powinien, tak już wszystkie umiejętności, wiadomości i chwalebnych dzieł wykonanie dla siebie zabierać; taki mistrz matematyk, jak wy mości książę, powinien w księgach swoich siedzieć, nie zaś niedźwiedzie na oszczepy brać!

— To pan Michał Radziwiłł wziął na oszczep tego wielkiego kudłacza! — rozmawiali z sobą dalsi przybyli.

— O, panie Sapieho! wszak-ci i ślepej kurze trafi się ziarnko — spokojnie kładąc oszczep, rzekł Radziwiłł.

— Co ziarnko to ziarnko! dawno nie widziałem takiej bestyi okropnej! — rzekł trzeci pan, z kolei oglądając ubitego zwierza.

— A to jakżeś waszmość panie marszałku wielki koronny tamtych trzech wczoraj ubił? czyli nie patrząc na nich? — spytał Radziwiłł.

— To niedźwiedzięta były w porównaniu z tą poczwarą — odparł marszałek, oglądając ranę po oszczepie w piersi zwierza.

W tem ktoś z daleka zawołał:

— Panie marszałku! gdzie jest pan Opaliński? pan marszałek?

— A co tam? — spytał Opaliński spoglądając w stronę wołającego. Inni panowie spojrzeli także, gdy przedzierający się przez ludzi i gęstwinę szlachcic wołał do marszałka:

— Panie marszałku! Wasza miłość życzyłeś niedźwiedząt na chowanie, a no są! są dwoje! tam w tej gęstwi, której ta niedźwiedzica tak broniła!

— To pewno jej niedźwiedzięta! oto będą pyszne egzemplarze na sługusów! — krzyknął Opaliński.

Natychmiast myśliwi otoczyli część kniei, w której ubito ostatniego zwierza i zbliżali się ostrożnie i z wolna przedzierając do miejsca, kędy wskazywał ów szlachcic, któremu Opaliński rzekł:

— Dziękuję! panie Reytan!

— Panie Michale! panie Reytan! czy tędy nie lepiej? — pytali go myśliwi.

— Tędy, tędy... prowadzę waszmościów jak sam szedłem gładką drogą — odpowiadał młody Reytan, przeskakując lub przełażąc ogromne kłody powalone Bóg wie kiedy jakimś piorunem, obrosłe teraz i zrosłe z nowemi olbrzymiemi drzewy w mur nieledwie czarnej mchem utkanej zieleni.

— Widzę już, widzę!... o! dla Boga, jakież to dziwne

poczwary! Ależ to chyba nie niedźwiedzie! — szepnął jeden z myśliwych.

— Gdzie panie Rymwid? gdzie ich waszmość widzisz panie Mickiewicz? — pytali z cicha inni, bo Rymwidów herbu Poraj zwano Mickiewiczami od przodka ich Micka czyli Mikołaja.

Reytan z jednej strony, Mickiewicz z drugiej stanęli ukryci w gęstwinie, wskazując towarzyszom punkt, w który sami mieli oczy wlepione z podziwem.

W najgłębszej gęstwi, w pewnym rodzaju szałasu, jakie umieją sobie robić niedźwiedzie, otulając i nakrywając gałęziami wypróchniałe pnie drzew, właśnie w takiem jakby od piorunu rozdartem i spróchniałem drzewie ogromnem, stały z sękatemi pałkami ogromnemi w każdej z przednich łap, dwa dziwne potwory.

Stały na tylnych łapach jak niedźwiedzie stają i tak samo pochylone naprzód niezgrabnie. Głowy ich duże pokryte były całe ze wszystkich stron wielkiemi kudłami zbitemi kurzem i błotem, spadającemi im na szyje, tak, że z pomiędzy tych kudłów zaledwo przebłyskiwały wilcze, dzikim ogniem płonące oczy. Reszta ich ciała zdawała się także siercią porosła brunatno-czarniawej barwy, lecz krótką i rzadką. Czarniawe przednie łapy trzymające pałki, dziwnie były z kształtu do ogromnych rąk ludzkich podobne, jak zwykle u niedźwiedzi bywa, co też nawet wstrętnem czyni dla niektórych ludzi spożywanie tych delicyi. Same ciała tych zwierząt, jakkolwiek potężne, przecież różniły się proporcyami i trochę wysmuklejszym pozorem od niedźwiedzich. A zaś czarne olbrzymie ich stopy, były już tak dziwnie do ludzkich kształtami podobne, że myśliwi zdumieni spoglądali wzajem na siebie i na tych zwierząt dwoje, ani wiedząc co myśleć.

Tymczasem dotarli i panowie do miejsca, z którego widać było dokładnie niedźwiedzią chatę, obsadzoną teraz gęsto a cicho ze wszystkich stron okrążającym ją ludem. Panowie przypatrywali się przez długą chwilę dwom dziwnym tworom, które błyskając w około pełnemi trwożnej dzikości oczyma, poruszały głowami, widocznie nastawiając uszy ku słuchaniu. Ale uszu tych wcale nie było widać z gęstwi kudłów okrywających ich głowy i ramiona.

— Na miłosierdzie Boskie! ależ to są ludzie chyba! — zawołał Michał Radziwiłł, zapomniawszy się w największem zdumieniu.

Na ten okrzyk, dwie dzikie istoty, które wystraszone wi-

docznie obławą zataiły się w spróchniałem drzewie w nadziei, że spostrzeżone nie będą, teraz rzuciły się razem prosto przed siebie z siłą i zręcznością potężnych zwierząt, przeskakując kłody i na czworakach prześlizgując się jak płazy przesmykami swego leśnego państwa.

— Chwytać! łapać! ale nie zabijać! to są ludzie, albo coś o czem jeszcze świat nie słyszał! — krzyczał z całych piersi uczony Radziwiłł.

Odpowiedział mu dziwny ryk czy jęk, nie przerażający potęgą, ale tak przykry wyrazem, że trzej panowie aż cofnęli się z miejsc swoich, spoglądając na się wzajemnie.

Jęk ten wydały dwa dzikie potwory, gdy przeskoczywszy i przebywszy grubą ścianę gęstwiny, zamiast na wolność się dostać, wpadły na zbitą gromadę myśliwych. Wszyscy myśliwi w mgnieniu oka zbiegli się w to miejsce wezwani okrzykami i trąbek odgłosem; dojeżdżacze tylko pozostali w oddali, wstrzymując psy zdziwione i skomlące z drżeniem niecierpliwości. Lud użyty do obławy, natychmiast tu przyzwany, otoczył gęstym kołem główną gromadę myśliwych, aby dziwna zwierzyna, w żadnym razie, na pewno ujść nie mogła. W środku tych oblężniczych ludu i myśliwców pierścieni, pomiędzy wyborem myśliwców i dwojgiem dzikich stworzeń rozpoczęła się walka zaciekła, tem trudniejsza i dłuższa, że nie chciano używać broni palnej, ani nawet białej, wedle pańskich powtarzanych rozkazów. Mimo to, uderzało tu dwudziestu na jednego, więc walka powinna była i tak być krótszą, gdyby nie siła niedźwiedzio-zwierząt owych, zręcznością niepojętą, prawie małpią poparta i zmyślność niesłychana z bystrością nadzwyczajną oka i słuchu połączona, a przez to wyższa od rozumu ludzkiego nieledwie. Już od samego początku walki, Reytan i Mickiewicz krzyczeli:

— Nie puszczać na drzewa! nie puszczać na drzewa! bo przepadną!

I w istocie, wprawnemu oku myśliwca łatwo było dostrzedz, że dwa potwory wpadłszy za pierwszym tygrysim skokiem na kłąb myśliwych i pomiarkowawszy, że są otoczone zewsząd ogromnym tłumem ludzi, usiłowały wedrzeć się na drzewa; a tam, w nieprzebytej gęstwi splątanych z sobą konarów byłyby bezpieczne, bo mogłyby małpim sposobem całą puszczę w szerz i wzdłuż tak ponad ziemią przebyć. To też niesłychaną siłą i obrotnością wydarłszy się zaraz w pierwszej chwili z kilkudziesięciu rąk myśliwskich, skoczyły oba straszliwym skokiem w górę ku gałęziom, chwytając się ich rękami

i nogami, jak małpy, a mrukiem do niedźwiedziego podobnym porozumiewając się z sobą. Ale na ostrzegający krzyk Mickiewicza i Reytana, kilka rąk zdążyło uchwycić kudły na karku jednego i ludzką stopę drugiego. Pod tym ciężarem pękł jeden konar potężny, a drugi toporkiem podciąć zdążono i oba wielkie czerniawe potwory padły w gromadę myśliwych, pozbawione już teraz swych pałek, które ciągnęły skacząc na drzewa, a któremi wprzód powaliły kilkunastu myśliwych. To też teraz sądzono, że łatwiej będzie je schwytać, ale przerachowano się. Bo jeden dziwotwór zatrzymał w rękach konar dębowy olbrzymi, z którym spadł i w mgnieniu oka przełamawszy go na dwoje jak patyk, uczynił nim straszliwego młyńca, obracając się w koło z niewidzianą chyżością, czem w jednej chwili uczynił puste na około siebie miejsce, na którem tylko u stóp jego kilku myśliwców poranionych leżało. Drugi zwierz tymczasem gołemi pięśćmi a także szybko obracając się w koło, zamłócił potężnie niedźwiedzim sposobem po łbach tłoczących się ku niemu napastników. Nareszcie dwa potwory zdołały wesprzeć się wzajem o siebie plecami. Ten, który upuścił konar podcięty wyrwał pobliską drzewinę, przełamał ją i znowu oba uzbrojone w potężne pałki, wywijały niemi czterema rękami straszliwe młyńce, a tak trzymając ludzi w oddaleniu usiłowały znów widocznie podsunąć się pod najbliższe drzewo. Tam na wierzchołkach drzew czuły wyraźnie swobodę.

— Jeżeli to nie są zwierzęta nieznane dotąd, to dyabły są! — krzyczeli myśliwi, z których połowa była już poraniona.

— Strzelać do nich! strzelać!...

— Nie strzelać! proszę nie strzelać! — wołali panowie — boć chyba ludzie dzicy to są!

— Płachty im na łby zarzucać! jak się w Hiszpanii z rozjuszonymi bykami praktykuje! — wołał Łukasz Opaliński, rycerski i uczony autor, a bywalec przytem.

— Sznury na nich zarzucać jako się z końmi dzikiemi czyni! — wołał Radziwiłł, praktyk w rycerskiem rzemiośle i koniarz mimo ścisłych nauk, którym się oddawał.

— Od drzew, od drzew z daleka! — krzyczał Sapieha — ja tu będę na wiatr strzelał wedle tych drzew, do których one ciągną!

I wprawny strzelec jął w istocie gęsto strzelać w stronę, w którą dzicy dostać się usiłowali ku drzewom. To ich w istocie wstrzymało na miejscu przez chwilę, a tymczasem kilkanaście ogromnych płacht i tęgich sznurów ze ściąganemi wę-



Rondel bramy Floryańskiej.

złami jęły padać na owych dzikich, jedne po drugich, plącząc im pałki, ramiona i głowy ich razem. Aż wśród dzikich przerażających ryków jękliwych i szarpań okrutnych, w których mimo godzinnej przeszło strasznej walki nic wysilenia i znękania nie wskazywało, dwa ujęte potwory zostały nareszcie spętane, powalone i skrępowane więzów tysiącem.

— Ej... zerwą to oni jak bąk pajęczynę... — szeptało przesądne myśliwstwo, patrząc z zabobonnym przestrachem na skrępowane dziwne stworzenia. Nie zerwali jednak, zwłaszcza gdy panowie sami obejrzawszy zgrzytających zębami więźniów, kazali tu i owdzie węzły wzmocnić i poprawić, a inne zwolnić, aby czerniawego obrosłego ciała nie raniły.

Tak ich wywieziono z puszczy, karmiąc i strzegąc starannie i pierwsi ówcześni uczeni ludzie zbiegali się, by dziwotwory owe oglądać. Po ogoleniu i wykąpaniu ich, nie ulegało żadnej wątpliwości, że byli to dwaj najprawdziwsi młodzieńcy, doskonale zbudowani, dobrze wyrośli, a nadewszystko krzepcy, tędzy i rozrośli po niedźwiedziemu w istocie. Twarze ich i rysy były też niepospolicie kształtne; tylko bystra dzikość pięknych ciemnych oczu zdradzała w nich od razu coś nadzwyczajnego.

Przekonawszy się, że to byli ludzie, sądzić zaczęto, że ludzie ci dla jakichś skrytych powodów, czy też skutkiem zdziczenia nie chcą mówić, ale z czasem przekonano się, że oni naprawdę nietylko mówić nie umieli, ale nawet nie mieli jakby władz umysłowych w tym kierunku rozwiniętych i skutkiem tego nauczyć się mówić nie mogli.

Otoczono ich staraniami odpowiedniemi ich naturze, to jest przy największej baczności, ostrożności i ciągłem silnem spętaniu, koniecznem z powodu niezmiernej ich a niebezpiecznej siły i próbowano oswajać zwolna, tak jak się pod owe czasy gęsto po kraju oswajało młodych niedźwiedzi. Ale czy z powodu, że już za dużymi byli, czy też z ich natury już, nie udało się z nimi, co się udawało z niedźwiedziami; łatwiej i lepiej można było oswoić niedźwiedzia niż tych ludzi, jakkolwiek używano ku temu wszelkich sposobów łagodności, kar, pieszczot, głodzenia i poddawania im ulubionego jadła. A tem ulubionem od nich jadłem był miód w plastrach, który pożerali całkowicie; orzechy, które miażdżyli w palcach, żołądź, buczyna i wszelkie leśne owoce. Z początku nie chcieli jeść nic więcej; wszakże gdy raz gwałtem dano im mięsa, miodu oczyszczonego i wódki, zasmakowali w nich od razu nad miarę znowu.

Byli oni rzeczywiście o wiele dziksi od niedźwiedzi, a przytem podejrzliwsi i chytrzejsi od nich daleko, co utrudniało bardzo ich oswajanie. To też dopiero przy pomocy niedźwiedników z powołania, czy tresujących niedźwiedzie, potrafiono dójść do pewnego ładu z tymi ludźmi wychowanymi wśród niedźwiedzi. Ale i to udało się tylko do pewnego stopnia. Co znaczy, że musiano zawsze mieć ich na oku i niedowierzać im bardziej, niż prawdziwym niedźwiedziom. Zwłaszcza dla nieświadomych ich natury ludzi byli oni niebezpieczni, gdyż już po oswojeniu owem pozornem, mieli zwyczaj roztwierania ramion serdecznie na powitanie znajomych, ale niedźwiedzia to była serdeczność, a ktoś kto przypadkiem dał się jej ułudzić, upadł zduszony w niedźwiedzim uścisku. Lubili też zimą spać tak okrutnie a bezustannie prawie, że ich obudzić trzeba było do jadła, a gdy nie budzono, to i kilka dni mogli przespać ciągiem i dopiero bardzo zgłodniawszy budzili się sami, aby po nasyceniu, znów skuliwszy się, zasnąć. Poskromiono ich tedy cierpliwemi staraniami do tego stopnia co chowanych niedźwiedzi, na pozór przynajmniej, bo w gruncie pozostali oni zawsze dzikszymi od niedźwiedzi, jak się już rzekło. I już żadna nauka, żadne uczone środki i mądre sposoby nie mogły ich mowy ludzkiej nauczyć. Zaledwo można ich było doprowadzić do wymawiania kilku pojedyńczych wyrazów, bez żadnego związku i tylko na rozkaz wychowawców, jakby na potwierdzenie stanowcze ich człowieczeństwa, ale bez żadnej z ich strony samowiedzy.

I na tem trzeba było poprzestać; wychowanie tych wychowańców niedźwiedzich nie dało się posunąć ani na krok dalej. Z sobą wzajem zdawała się łączyć ich jakaś wspólność instynktów i przyzwyczajenia.

Raz tylko dostrzeżono w jednym z nich coś podobnego do uczucia. A to wtedy, gdy ten człowiek-zwierz rzucił się nagle na skórę szarą olbrzymią niedźwiedzią rozpostartą przed łożem pańskiem i z jękiem straszliwym, zalewając się łzami, jął do piersi tę skórę przyciskać.

Sądzono, że oszalał, bo i łzy pierwszy i jedyny ten raz ujrzano u niego. A przecież po zbadaniu okazało się, że była to właśnie skóra z tej samej szarej niedźwiedzicy, którą zabito w obronie ich chaty niedźwiedziej, jak to twierdzili myśliwi.

Z początku, dziwy te znalezione w boru obudziły niewypowiedziane i ogólne zajęcie. Ale po pewnym przeciągu czasu, gdy uczeni dostatecznie dziw zbadali i wydali wyrok, że byli

to ludzie najzwyczajniejsi, z maleńkości skutkiem jakiegoś wypadku wychowani w lesie, a kto wie nawet, czy przez ową czarną niedźwiedzicę nie porwani i hodowani, jak się to u małp i u niedźwiedzi w rzadkich wypadkach zdarza — tedy oswojono się z owym dziwem pomału i przestano nim wcale się zajmować. Ale, że spuścić z oka tych ludzi nie było można z obawy ich dzikości, przeto jednego z nich próbowano użyć dla jego siły nadzwyczajnej, do obozowej posługi i ten wkrótce w ówczesnych wojnach zginął. Drugi, który się niby trochę mniej dzikim zdawał, został ochrzczony Józefem i wzięty do kuchni pana Opalińskiego, marszałka wielkiego koronnego, aby tam posługiwał, zastępując prawdziwego niedźwiedzia. Żył on tam dosyć długo, ale nigdy natury swej zdziczałej nie zmienił i mówić nie umiał.

Schwytanie owych stworzeń i straszna z niemi walka zajęła w swoim czasie całą grodzieńską okolicę, a w lat parę później jeszcze pan Reytan świeżo wracający z Warszawy opowiadał o nich i zdania uczonych cytował, siedząc w ganku pewnego szlacheckiego dworu, skąd o staje widać było szczątki domostwa zmarniałych niegdyś z żalu po zniknych dzieciach leśniczych. Nagle gospodarz zamyślił się i uderzając w czoło krzyknął do żony:

— Panienko moja! uczeni mówią, że tych ludzi niedźwiedzie porwać mogły! A nie byliżby to czasem owi straceni synaczkowie naszych leśniczych przed laty, którym wtedy niedźwiedzica dzieci porwała w zamian za swoje własne przez leśniczego porwane dla mnie?...

Pan Reytan klasnął w dłonie zdumiony, a pani domu, oniemiała przez chwilę, szepnęła:

— Czyliżby i niedźwiedzice miały macierzyńskie serca... i pamięć?...

Tak prawi powieść między ludem. *M. Z.*

WIGILIA BOŻEGO NARODZENIA.

Rzadko który dzień w roku bywa obchodzony z taką uroczystością u wszystkich Słowian, a więc i u nas Polaków, jak wigilia Bożego Narodzenia. W dzień ten też można zauważyć wiele obyczajów i zwyczajów, a wszystkie piękne i pełne głębokich myśli i serdecznego uczucia. Jakie się u nas przechowały zwyczaje na dzień ten, toć nasi czytelnicy wiedzą, ale nie wszędzie one równe, bo, jak powiadają, co kraj, to oby-

czaj. W tym względzie różni się u nas nieraz wieś od wsi, choć sąsiedzkiej, miasto od miasta.

Poniżej podajemy zwyczaje i sposoby obchodzenia wigilii w pewnej części Królestwa Polskiego i u jednego z pokrewnych nam szczepów słowiańskich, u Serbów.



BOŻE NARODZENIE.

W Królestwie Polskiem w gubernii Lubelskiej, podobnie, jak i u nas w Galicyi, już na parę dni przed świętami bielą izby, szorują wszystkie sprzęty, wogóle czynią różne przygotowania do czyszczenia i przystrojenia domostwa.

Kobiety pieką potem placki z różnej mąki, boć nie każdą może stać na pszenną. W samą wigilią od samego rana nikt nic nie je, aż do południa, a i wtedy niektórzy skromnie się posilają. Potem gospodyni przygotowywa jadło na postnik

czyli wigilijną wieczerzę. Gotują na nią wszystko, co tylko jest w chałupie, a więc: groch, kapustę, kaszę jaglaną z' olejem, pęczak z miodem, gruszki i śliwki suszone, a gdzie mają, to i ryby i śledzie. Dziewuchy zaś na dzień wigilijny już cały adwent szykują się; robią zatem wielką ilość papierowych kwiatów i gwiazd, zatykają je każdą osobno na kijek, a ten zakładają na belkę jeden obok drugiego. Tak samo też stroją okna i obrazy, cała zatem izba wygląda przez święta strojnie. Gdzieniegdzie opłatkami znów stroją izby na święta Bożego Narodzenia. Już w adwencie, kiedy organista jeździ z opłatkami, dziewczęta proszą go, aby im tylko dał dużo opłatków czerwonych, niebieskich, żółtych i t. d. Z nich zaś robią różne kółka, gwiazdki i inne rzeczy i to wszystko na nitkach zawieszają u sufitu przed obrazami.

Przed wieczorem cała rodzina i domownicy myją się i ubierają odświętnie. Przed zmierzchem, czyli przed pokazaniem się pierwszej gwiazdy przynoszą parobcy do izby siano, którem gospodyni zaściela stół, kładąc pod sam spód opłatek i kawałek chleba. Nakrywa potem to wszystko obrusem swojej roboty. Tymczasem zaś całą podłogę posypują słomą.

Z chwilą ukazania się pierwszej gwiazdy zasiadają wszyscy do postniku. Pierwej jednakże bierze ojciec do ręki opłatek, a cała rodzina podchodzi do niego, łamie opłatek, dzieli się nim i składa sobie nawzajem życzenia: zdrowia, szczęścia i fortuny, a w niebie korony.

Po skończonej wieczerzy resztki jadła wynosi gospodyni bydłu, aby i ono spróbowało tego, a dobrze się przez rok chowało. Potem chłopcy wychodzą do sadu z siekierą i powrósłami i tu najpierw straszą drzewo siekierą, że je zetną, jeśli nie będzie rodziło, a potem przewięzują powrósłami, czem zachęcają jakoby, żeby rodziło obficie.

Siano i słoma leży na stole do świętego Szczepana, wtedy dopiero zbierają je i razem z kawałkiem chleba dają bydłu, a słomę chowają i ścielą w gniazda gęsiom.

W pierwsze święto Bożego Narodzenia do dnia wszyscy idą na „Pasterkę“ i poranną Mszę, a potem cały dzień siedzą w domu. Za to w dzień św. Szczepana, chłopcy chodzą po wsi z tak zwaną „kozą“. Jeden więc chłopak przywdziewa pstruchę, nachyla się i trzymając w ręku długi kij, na którym osadzona jest drewniana głowa kozy, pokryta jeżową skórką i ozdobiona wstążkami. Kozą tą, przyszedłszy do chaty, stuka przebrany w posadzkę i wogóle kozę udaje. Przebrańcowi i tym, którzy chodzą z kozą, gospodarze dają zwykle coś:

okrasy, kaszy, jaj, parę groszy, a czasem w domu tylko częstują, różnie bowiem różni gospodarze obdarowywują przebrańców.

Obszedłszy tak całą wieś, jeśli jest mała, lub pewną jej część, jeśli jest duża, przebrańcy składają się na piwo, zapraszają dziewczęta i w wybranej naprzód chałupie tańczą i bawią się do rana.

To jednak na pochwałę powiedzieć należy, iż tylko w rodzinnym domu wyprawiają takie zabawy i to skromnie, przyzwoicie, choć się bawią wesoło i raźno. Nie tak wszakże bodaj bywa wszędzie. Niejednokrotnie bowiem zdarzy się widzieć, że młodzież nie robi tak, jak w tych okolicach, gdzie za zebrane pieniądze kupuje się herbaty, bułek, kawy i mięsa i tem się posilając, się bawią. Nie, gdzieindziej, niestety, śmierdzącą gorzałę kupują jeno. A zdarzy się nieraz, że i drugiego dnia jeszcze hulająca tak młodzież jest pijana, a wyrostki paląc papierosy, i pożar i nieszczęście sprowadzają. Dobra jest zabawa, ale uczciwa, nie hece i hałasy.

W niektórych okolicach chodzą jeszcze i z szopką, w której przedstawiają żłóbek Chrystusa, śpiewają kolędy, a lalkami różne sztuczki pokazują przyśpiewując. Każda lalka wyobraża inną osobę i tak: jedna przedstawia kominiarza, inna Kasię albo Małgosię, inna jeszcze czarownicę, robiącą masło, Heroda i djabła, który tego króla do piekła zabiera, i nareszcie dziada z torbą, co prosi o jakiś datek za przypatrywanie się szopce.

Szopkę pokazują zwykle młodzi chłopacy, a gdzieniegdzie, gdzie młodzież jest światlejszą i umie czytać, tam wyuczają się przedstawiać życie Heroda i to, jak dzieciątko Jezusa zabić kazał. Żywe więc tym razem osoby i stosownie przebrane ładnie pokazują to, co inni w szopkach przedstawiają. W niektórych nareszcie miejscowościach chodzą o tym czasie chłopacy z dużą gwiazdą, czerwonym papierem wyklejoną. W pośrodku gwiazdy pali się świeczka, a chłopacy, kręcąc skrzydła gwiazdy, śpiewają kolędy.

Zupełnie odmienne zwyczaje mają znowu Serbowie. Nasamprzód trzeba wiedzieć, że ci Serbowie są naszymi pobratymcami, bo jak i my są Słowianami. Dawniej, przed wiekami, kiedy u nas Popielowie, Leszkowie, Krak i Wanda panowali, Serbowie ci mieszkali znacznie bliżej nas, bo nad rzeką Elbą. Wtedy też zapewne, jako bliżsi sąsiedzi, Serbowie z naszymi praojcami częściej się widywali, częściej sprawy różne miewali, a pewno częściej się nawet spierali i kłócili, zwyczajnie jak to bywa pomiędzy ludźmi i pomiędzy sąsiadami. Przyszedł

wszakże czas, kiedy ci Serbowie zmuszeni byli wynieść się z nad Elby, czego powodem bywały przechody różnych z Azyi narodów i wojny ich. Z nad rzeki Elby Serbowie powoli przenieśli się nad rzekę Dunaj, gdzie i dziś siedzą.

Serbowie więc, jak i my są Słowianami, a jak dawniej religia ich bałwochwalska była bardzo podobną do naszych praojców, tak też pomiędzy wiejskim ludem serbskim wiele jeszcze zostało obyczajów, które są podobne do naszych, a które i u nas z dawnych czasów pozostały.

Wigilia Bożego Narodzenia, tak samo jak u nas, zwykle przez Serbów uroczyście jest obchodzoną, choć trochę odmiennie, niż u nas. Przed wieczorem więc tego dnia wychodzi gospodarz do lasu i wycina tam dwa albo trzy młode dębczaki, które później kładzie na ognisko rozniecone pośród chaty. Trzeba bowiem wiedzieć, że kominów ani pieców zwykle Serbowie nie mają, tylko palą ogień na środku chaty; nad ogniskiem zawieszają kocioł, obok niego stawiają garnki i tak gotują; a dym wychodzi nie przez komin, jeno przez otwór w pułapie czyli w posowie.

Otóż gdy gospodarz zetnie już owe dębczaki, to przychodzi z nimi do domu, a wchodząc tu, mówi: „Dobry wieczór i szczęśliwe Boże Narodzenie temu domowi“.

Obecni w izbie odpowiadają na to powiedzenie gospodarza:

— Daj Boże w szczęściu i poczciwości!

A mówiąc te słowa posypują dębczaki ziarnem zboża. Zapalają potem ogień, a niedługo zaczynają się schodzić i zaproszeni na wieczerzę goście. Wchodząc zaś każdy z nich rzuca na ogień trochę ziarna i mówi:

— Chrystus się narodził.

A na to domowi odpowiadają:

— Prawdziwie się narodził.

Ogień z owych dębczaków, jakie gospodarz z lasu przyniósł, pali się już wówczas, gdy goście przychodzą. To też goście owi przystępują do palącego się pniaka czyli główni i uderzają po nim kijem. A patrząc na wydobywające się od uderzenia iskry powiadają:

— Ile iskier, tyle wołów, ile iskier tyle koni, kóz i owiec, ile iskier tyle świń, osłów, tyle szczęścia i błogosławieństwa życzę gospodarzom.

Za takie życzenia gospodarz zwykle obdarza gości jakimś podarunkiem. Nad ranem dopiero dopalają się pniaki, a gospo-

darz wynosi je do sadu z tą wiarą, że od tego drzewa będą obficie rodziły.

Ale muszę wrócić swoje opowiadanie do wieczerzy. Otóż przed rozpoczęciem wieczerzy wszyscy z zapalonemi świecami w rękach zbliżają się do stołu, całują się i składają sobie nawzajem życzenia wszelkich pomyślności. Następnie zbiera gospodarz świece, związuje je w jeden pęczek i gasi w ten sposób, iż zanurza je w zbożu, które umyślnie już jest na misce przygotowane. Na dnie zaś tej misy leży placek, zwany cześnicą. Otóż plackiem tym przy wieczerzy dzielą się, a kto ułamie kawałek z pieniążkiem, który z umysłu jest w placek wsadzony, ten, jak mówią, będzie miał szczęście przez cały rok.

Nakryty i zastawiony jadłem stół stoi zwykle w chacie Serbów przez trzy dni. Przez ten czas każdy ma prawo wejść do chaty i podjeść do woli.

DJABEŁ z WĘDKĄ.

(Z baśni ludowych).

Na samym kraju świata siedział raz djabeł i trzymał na bardzo długim drążku wędkę, na którą chciał ludzkie dusze łowić.

Właśnie tamtędy szedł jakiś starzec siwobrody, a obaczywszy djabła z wędką, przystanął chwilę i zadytał:

— Co robisz?

— Ludzkie dusze jak ryby łapię dla siebie.

— A cóż ty tam na wędkę zakładasz? — pytał dalej starzec.

— A! co raz to co innego, bo jedne dusze na to, a drugie na co innego się łapią. Jeśli chcesz, siądź koło mnie j patrz, a będziesz wiedział, na co my dusze łapiemy. Ty już utro umrzesz, więc wśród ludzi nie wrócisz i nie zdradzisz naszego sekretu, gdyż inaczej bym ci nie był pozwolił patrzeć na to.

Usiadł staruszek obok djabła i w milczeniu przypatrywał się tylko jego robocie.

Najpierw djabeł zdradziecki zawiesił na swój haczyk kawałek złota i zarzucił wędkę w świat, a gdy za chwilę chciał wędkę podnieść, nie mógł jej udźwignąć, tyle na niej uczepionych było brzydkich jakichś czarnych owadów.

— Coś to nałapał? — zapytał z uśmiechem staruszek.

— To dusze łakomców i chciwców złota... popatrz, na

jeden kawałek złota rzucają się z całą siłą i radeby każda połknąć je, gdyby tylko mogły... O! tych dość my łapiemy; pokazać im tylko cent jakiś, a już lecą... jużby wszystko i ojca i matkę sprzedali za złoto...

To mówiąc, pozbierał djabeł dusze połapane, schował je do kotła obok stojącego, a na wędkę założył parę kawałków przysmaków do jedzenia.

Znowu nie trwało to długo, gdy wyjął wędkę miał na niej dość brzydkich much, które poprzylepiane wisiały na około.

— Cóż to znaczy? — pytał staruszek.

— To dusze łakomców i obżarciuchów, którzy tylko za jedzeniem gonią: co zarobią, to przejedzą, wszystko u nich nic nie warte, byle gęba miała co dobrze jeść.

Pochowawszy połapane dusze, zawiesza djabeł na wędkę lusterko, a starzec już nie czekając na to, co obaczy po wyjęciu wędki, pyta:

— Na cóż to lusterko ci się przyda?

— A!... — odpowie djabeł spokojnie — tu się co dzień łapie wiele takich próżnych ludzi, którzy znowu o niczem nie myślą i nie pamiętają tylko o tem, aby byli pięknie ubrani, aby się wszystkim podobali, aby każdy ich podziwiał... Tu łapią się zalotnice, puste dziewczęta i chłopaki, szukające chluby ze stroju, choć pusto w sercu i głowie.

Gdy po chwili pokazał djabeł starcowi wędkę, obaczył na niej mnóstwo motyli.

— Nadeszła teraz kolej na innych — mówił djabeł, uśmiechając się, i zawiesił na wędkę długi język czerwony, ognisty...

— To plotkarzy i plotkarek połapię! — śmiejąc się, mówił dalej djabeł. — Tych co obmawiają, czernią, obgadują. O, tych tu co dnia sporo przychodzi.

— Jakto co dnia? — ze zdziwieniem odezwał się starzec — alboż ty co dzień tu siedzisz?

— Od pierwszego grzechu ludzkiego, uczynionego w raju — odpowiedział djabeł — siedzę tu na kraju i łapię dusze, ale muszę powiedzieć, iż są takie lata, w których bardzo dużo nałapię, w innych zaś mniej

— Cóż teraz im zawiesisz? — pytał starzec.

— Patrz! teraz smaczny kąsek, kieliszek z wódką; nałapię ja na niego sporą gromadkę, obaczysz.

I rzeczywiście. Gdy podniósł wędkę, aż się drążek przegiął, tyle tam żab wisiało.

— Czy już koniec?

— Ha! ha! ha! — śmiał się djabeł serdecznie. — Teraz coś bardzo ciekawego będziesz widział...

— Jakto? — pytał starzec — próżną wędkę zarzucasz, a na nią co złapiesz?

— Czekaj... chwilę...

To powiedziawszy, założył djabeł ręce i spoczywał, bo próżna wędka lekko się trzymała, a na szkaradnem jego licu widać było wielką radość; cieszył się już naprzód tem, co złowi.

Starcowi za długiem wydało się to czekanie, pytał więc dalej:

— Powiedz, dlaczego na wędkę nic nie nałożyłeś, a najwięcej się z niej cieszysz?

— Bo tu się łapią dusze próżniaków i leniwców Te same lecą bez żadnej ponęty i tych najwięcej co dnia zdobywam.

Usłyszawszy to, starzec westchnął gorzko i zawołał żałośnie:

— Ach! czemuż ludzie o tem nie wiedzą!...

— W tej chwili podniósł djabeł wędkę, a na niej najobrzydliwsze robactwo i gady wisiały. Był to widok okropny, a djabeł cieszył się niezmiernie, zdejmował je garściami i mówił:

— Chodźcie, chodźcie, próżniaki, każda chwila zmarnowana liczy się dla mnie... z każdym dniem przepróżnowanym wy bliżej mnie... aż oto jesteście!

Odwrócił starzec oczy od tego widoku, poszedł dalej, a popatrzywszy jeszcze raz w tę stronę, zawołał:

— Gdyby ludzie szli drogą prawdy, cnoty i pracy, daremnąby była wędka djabła!

CUD.

ZE WSPOMNIEŃ LEKARZA.

Było to w wigilią Bożego Narodzenia; spożyliśmy właśnie wieczorną ucztę i zasiedliśmy przy kominku, aby pogwarzyć swobodnie. Stary miód, wydobywany z piwnicy tylko w uroczyste święta, wszystkim rozwiązał języki; każdy opowiadał jakieś zdarzenie ze swego życia, aż wreszcie przyszła kolej na doktora, dawnego przyjaciela domu.

— Jeżeli państwo chcecie, to opowiem wam cud, jaki widziałem w Boże Narodzenie.

— Cud? Ty doktorze, który nie wierzysz w cuda? — zawołałano hórem.

— Mogę jednak wierzyć w to, co własnemi oczywa widziałem — brzmiała odpowiedź.

Wszyscy z zaciekawieniem przysunęli się do niego, on zaś w te słowa zaczął opowiadać.

— Było to w początku mojej praktyki lekarskiej; nie mając żadnych widoków powodzenia w stolicy, biedny i nieznany, osiedliłem się w zapadłym kącie na prowincyi. Zima w tym roku była straszna, niepamiętna. Już w listopadzie mrozy ścisnęły ziemię, wkrótce potem od północy zaczęły nadciągać szare chmury, z których prawie bez przerwy sypały się białe płatki śniegu. Jedna noc wystarczyła, ażeby świat cały zasłać lśniącą, puchową powłoką, ale to był dopiero początek. Przez cały tydzień słońce nie wyjrzało z poza chmur siwych, wiatr ustał zupełnie i wśród tej ciszy złowrogiej słychać było tylko jednostajny, nieubłagany szelest padającego śniegu. Drobne, srebrzyste gwiazdeczki leciały z zaciętością i wytrwaniem, jak gdyby chciały wszystko otulić białym całunem. Wszędzie było posępnie, cicho, martwota śmierci ogarnęła niebo i ziemię, tylko od czasu do czasu stado czarnych wron i kruków zarysowało się na widnokręgu, kracząc wrzaskliwie.

Kiedy po tygodniu ustała śnieżna zamieć i słońce z poza chmur wyjrzało, trudno było rozpoznać okolicę. Śnieg zasypał wszystkie drogi, sięgał wyżej płotów i dochodził niemal do strzech wieśniaczych. U nas, w miasteczku, trzeba było kopać istne tunele, żeby się wydobyć z domu, warstwa śniegu dochodziła sześciu stóp grubości.

Mieliśmy potem trzy tygodnie nieprzerwanych mrozów i pogody. Niebo było podobne do błękitnej, kryształowej kopuły, słońce świeciło bardzo jasno, choć nie grzało wcale, a kiedy zalśniło na szklącej powierzchni śniegu, to trzeba było mrużyć oczy od blasku i białości. Nocą gwiazdy iskrzały się na niebie jak brylanty, ale mało kto miał odwagę im się przyglądać, gdyż mróz tężał zwykle pod wieczór i oddech w piersi tamował.

Ruch ustał prawie zupełnie, wyjeżdżał tylko ten, kto musiał, wszyscy siedzieli przy kominach, nie widząc światła Bożego przez zamarznięte szyby, porysowane w jakieś dziwne desenie przedpotopowych paproci. Wśród przerażającej ciszy, jaka zaciążyła nad zasypaną śniegiem ziemią, odzywało się niekiedy posępne łopotanie skrzydeł wronich, złowrogi

trzask pękającego od mrozu drzewa lub łamiących się pod ciężarem śniegu gałęzi.

Raz, a było to na tydzień przed Bożem Narodzeniem, przysłano po mnie sanie z sąsiedniej wioski. Zimno przejmowało do szpiku kości, mimo to otuliłem się w futro, nogi schowałem w słomę i pojechałem. W drodze dowiedziałem się od parobka, po co mnie wzywano: djabeł opętał kowalową i takie z nią wyprawiał dziwy, że musiano ją związać, bo czterech ludzi nie mogłą jej utrzymać. Napróżno baby zamawiały, napróżno mądry owczarz dawał leki, wszystko na nic się nie zdało. Proboszcz wreszcie poradził, żeby po mnie posłano; kowal usłuchał, choć kumy kiwały głowami. Z wielkim trudem dobiliśmy się do wioski; obłok pary otaczał konie, a ja miałem sople lodu na wąsach. Dojeżdżając do chaty kowala, usłyszałem z daleka nieludzkie wrzaski. Parobek przeżegnał się z przestrachem i objaśnił mnie, że to opętana tak krzyczy. Wszedłszy do izby, ujrzałem na łóżku związaną kobietę, która pieniła się i ciskała w okropnych kurczach, rycząc jak zwierzę.

— Djabeł we mnie siedzi! — krzyczała strasznym głosem — djabeł we mnie siedzi!

Od czasu do czasu to ta, to owa baba wsuwała bladą twarz do izby i zaraz uciekała przerażona.

— Na pierwszy rzut oka poznałem, że mam do czynienia z waryatką. Zarządziłem odpowiednie środki, ale przekołem się, że najmniejszej nie przyniosły ulgi. Medycyna okazała się w tym wypadku bezsilną.

Miałem już wyjeżdżać kiedy przybiegł chłopak od Proboszcza, prosząc, żebym wstąpił na plebanią. Uczyniłem zadość temu żądaniu i za chwilę siedziałem naprzeciw księdza na czarnej, włosiennicowej kanapie.

— Mam pewien plan co do biednej kowalowej — rzekł do mnie Proboszcz, nieco zgarbiony, ale czerstwy staruszek — chciałbym, żeby była na Pasterce. Może Bóg w łasce Swojej uczyni cud i uzdrowi nieszczęśliwą kobietę.

— Owszem, można spróbować tego środka, choć wątpię o jego skutku — odpowiedziałem. — Nabożeństwo wywrze na nią wrażenie, to pewne, ale żeby ją wyleczyło, trzeba istotnie cudu.

— Pan nie wierzysz w cuda? Ha! wy młodzi w nic teraz nie wierzycie. Ale w każdym razie mogę liczyć na pańską pomoc, nieprawda? — Najzupełniej, księże Proboszczu.

Wieczorem, po wigilii, wsiadłem do sanek i ruszyłem

na wieś. Udałem się prosto do chaty kowala i zastałem żonę w najwyższym stopniu obłąkania. Przy pomocy czterech ludzi zdołano ją ubrać czysto i pomimo jej oporu zaprowadzić na plebanię. Zamknąłem ją tymczasem w kuchni ,wraz z dozorcami, a sam udałem się do kościoła, czekając stosownej chwili, ażeby wprowadzić waryatkę.

Msza właśnie się zaczęła; rzesza ludzi okutanych w kożuchy napełniła drewniany, wiejski kościółek.

Zajęty nabożeństwem i wspomnieniami z lat dziecinnych, kiedy z rodzicami bywałem na Pasterce, zapomniałem zupełnie o biednej waryatce; w tej chwili dopiero przyszła mi na myśl. Po wysłuchaniu Ewangelii poszedłem po nią.

Kiedy weszła do kościoła i zobaczyła ołtarz oświetlony, a przed nim księdza w złocistym ornacie, krzyknęła okropnym głosem i z taką siłą zaczęła się wyrywać, że czterech ludzi ledwie zdołało ją przytrzymać u stóp ołtarza. Popłoch zapanował w kościele.

— Opętana! opętana! — szeptano z przerażeniem, usuwając się jak najdalej.

Nagle umilkła muzyka i śpiewy, od ołtarza zabrzmiał srebrzysty głos dzwonka, zwiastujący chwilę Podniesienia. Wszyscy, jak jeden człowiek, padli na kolana i korzyli się przed Bogiem. Ona wyła i rzucała się w napadzie szaleństwa, ale nie mogła oderwać oczu od Hostyi.

W chwilę potem kapłan wymawiał z namaszczeniem:

— Oto Baranek Boży, który gładzi grzechy świata!

Mimowolnie wzruszenie ogarnęło i mnie, ugiąłem kolano i drżącemi usty powtarzałem za ludem: „Panie, nie jestem godzien, abyś wszedł do przybytku serca mego, ale rzeknij tylko słowo, a będzie zbawiona dusza moja“.

Lud modlił się za nieszczęśliwą.

Kobieta stopniowo się uspokoiła i przestała krzyczeć, choć trzęsła się konwulsyjnie. Ciało jej traciło sztywność, wykrzywiona twarz odzyskała zwykły wyraz, błędne oczy patrzyły teraz przytomnie. Umilkła zupełnie i nagle spostrzegłem, że powieki jej zamykają się. Ona, co od tygodnia nie zmrużyła oka, usnęła teraz na stopniach ołtarza. Chrystus dokonał cudu i wrócił świadomość nieszczęśliwej waryatce.

Wyniesiono ją z kościoła, a wtedy ksiądz zaintonował pieśń na podziękowanie Bogu za uzdrowienie nieszczęśliwej. Kościół cały zabrzmiał śpiewem dziękczynnym, do którego i ja mój głos przyłączyłem.

Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Z Alwernii w Galicyi.

Klasztor św. Franciszka na górze Alwerni rozpoczął dalszą budowę wieży — ofiary przeważnie z pruskiego Śląska wpływają, a od Polaków w Galicyi bardzo rzadko. Podpisany prosi gorąco wszystkich Szanownych Czytelników *Skarbnicy*, aby zechcieli cegiełkę małą przesłać na tę budowę kosztowną, dla Pana Jezusa słynącego cudami w obrazie Alwernijskim.

Kto prześle ofiarę co najmniej **1** złr. (**2** marki) otrzyma **obraz wielki P. Jezusa fundacyjny i mieć będzie udział w Mszach św. 52,** co roku za życia i po śmierci (każdej niedzieli). Nazwiska ofiarujących należy przy przesyłce ofiary podać na przekazie poczty.

X. Stefan Podworski
Gwardyan
w Alwernii (poczta w miejscu).